

ARCHIWUM
MARZEC 2013 - MARZEC 2014

na temat CHIN

LIEVE JORIS

flamandzka pisarka i podróżniczka, mieszkająca na stałe w Amsterdamie. Autorka wielu cenionych książek o Afryce, Bliskim Wschodzie i Europie Środkowo-Wschodniej. Ryszard Kapuściński napisał o jej wydanej w 1987 roku książce „Powrót do Konga”: „Przez lata nie ukazała się żadna ważna książka o Afryce. Książka Lieve Joris wypełnia tę bolesną i dość wstydliwą lukę.” Uonorowana prestiżowymi nagrodami m.in. za swoją książkę o upadku komunizmu na Węgrzech i dwie ze swoich licznych książek osadzonych w Afryce. Twórczość Lieve Joris tłumaczona była na wiele języków, po polsku ukazały się: „Powrót do Konga” („Terug naar Congo” – Prószyński i S-ka, 1999) oraz „Godzina rebeliantów” („Het uur van de rebellen” – Wydawnictwo Czarne, 2012). W tym roku w holenderskim oryginale ukaże się najnowsza książka Joris „Na skrzydłach smoka. Podróże między Afryką a Chinami” („Op de vleugels van de draak. Reizen tussen Afrika en China”), w której autorka snuje opowieść o prawdziwych sprawcach i bohaterach boomu w relacjach między Afryką a Chinami. Publikowany przez nas tekst ukazuje początek drogi, która zawiodła Lieve Joris do napisania tej książki.

Afryka i Azja – spotkanie

Swoją drugą książkę poświęconą Kongu napisałam w domu nad rzeką na przedmieściach **Kisangani**[1]. Były to późne lata 90., kiedy to Kisangani znajdowało się w rękach kongijskich rebeliantów oraz ich rwandyjskich i ugandyjskich sojuszników. Między zniszczonymi domami rozdzielonymi wysoką trawą przechadzali się młodociani żołnierze.

Do tego wymęczonego wojną miasta przybyło dwóch braci Hindusów. Przyjechali z Dubaju i otworzyli sklep w przykurzonym centrum miasta. Był to skromny przybytek, w którym nad ryżem, cukrem, mlekiem w proszku i pudełkami zapatek unosił się zapach taniego mydła. Żaden z braci nie przypominał Salima, flegmatycznego i ponurego narratora powieści „Zakręt rzeki” V.S. Naipaula, który przybywa do Kisangani i wplątany zostaje w miejscowe intrygi. Ci byli pełnymi energii trzydziestoparolatkami, a ich sklep – punktem obserwacyjnym, z którego badali rynek. Wykazywali się wielką społeczną ruchliwością, poznając miejscowych handlarzy diamentów i zaprzyjaźniając się z indyjskimi żołnierzami sił pokojowych ONZ. Od czasu do czasu któryś z nich jeździł do Dubaju, gdzie zostały ich rodziny, a w tym czasie drugi doglądał interesu.

Kiedy jego starszy brat wyjeżdżał, Vishal czuł się samotny i odwiedzał mnie czasami. Pewnego dnia siedzieliśmy późnym popołudniem nad wodą, przyglądając się rybakom powracającym do domów swoimi zadaszonymi pirogami. Tropikalny las porastający przeciwległy brzeg rzeki zlał się w jednolitą masę i na tle ciemniejszego granatu nieba rysowała się jedynie linia drzew, pirogi pochłaniał zmierzch, zaczęły odzywać się świerszcze. W lesie słychać było odbijające się echem wrzaski małp i dzikich papug.

„Słuchaj, czy tu nie ma czasem węży?” – zapytał Vishal z lekkim niepokojem. Roześmiałam się. „Nie, trawę dopiero co ścięto.” Zauważyłam kiedyś małego zielonego węża, który przemykał przez trawę. Ogrodnik uśmiercił go jednym cięciem maczety i zabrał we wiaderku do domu jako kolację.

„Nie takiego węża miałem na myśli” – ciągnął niepewnie Vishal – „Myślałem o anakondach. Są bardzo duże. Mają przynajmniej piętnaście stóp długości. Wyskakują z wody jak strzały, owijają się wokół ciebie i duszą cię.”

Anakondy, kobry, pytony – rozprawialiśmy wtedy o nich wszystkich. Vishal, nie chcąc psuć mi wieczoru, twardo siedział przy mnie, choć głos ściszył do szeptu.

Przez kolejne lata często wracałam myślami do tamtego wieczoru nad rzeką. Vishal i jego brat zaczęli handlować na wschodnim wybrzeżu, a potem ostrożnie posuwali się w głąb lądu. **W centrum Kisangani czuli się jako tako bezpiecznie, ale dalej czekał na nich budzący strach, nieznany świat.** A jednak przyjechali. Podczas gdy europejscy

przedsiębiorcy opuścili miasto, a prosperować w nim zdawały się tylko ONZ i zachodnie organizacje pozarządowe, dla braci było ono kopalnią okazji do zrobienia interesu.

Było to dla mnie pierwsze spotkanie, w sercu Afryki, ze zmieniającą się Azją, którą w tak niezwykły sposób opisał w swojej książce „Nowa azjatycka półkula” hinduski dyplomata Kishore Mahbubani². Fala liberalizacji, która ogarnęła Azję, zaczęła docierać do Afryki. Stopniowo na ulicach kongijskich miast zaczęło pojawiać się coraz więcej Azjatów. Ferment pojawił się jednak również wśród Kongijczyków.

Wojna odcięła Kisangani od stolicy, dając początek nowym szlakom handlowym.

Odia, były oficer, który nie bał się rebeliantów, jeździł na zakupy do sąsiednich Ugandy i Rwandy. Pewnego dnia wsiadł do samolotu lecącego do Dubaju z długą listą zamówień i pieniędzmi zebranymi od tuzina kolegów. Przedsiębiorcy z Kinszasy^[3], którzy do tamtej pory utrzymywali monopol na podróże w kierunku wschodnim, byli zaskoczeni. „Co takiego?” – wykrzykiwali zdumieni – „Teraz do Dubaju dotarło też Kisangani?”

Podczas swojej podróży Odia usłyszał o pewnym miejscu, które leżało nawet dalej: Guazou... Guanzou... Nie bardzo wiedział, jak to się wymawia, ale spotkał kilka zajmujących się handlem kobiet, które tam były. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że mówił o Guangzhou, chińskiej metropolii w Delcie Rzeki Perłowej, znanej również jako Kanton, która jest położonym na południu kraju portem z ogromnym zapleczem fabrycznym.

Kiedy już zaczęłam zwracać na to uwagę, **Azję zobaczyłam wszędzie:** kongijski przyjaciel studiował w Pekinie w latach 80., inny odwiedził Chiny jako dziennikarz towarzyszący prezydentowi Mobutu^[4], a potem zaczął jeździć tam na wakacje.

„Na wakacje?”

„Jasne” – powiedział – „Przynajmniej nie trafię na flamandzkiego pogranicznika, który odmawia mówienia po francusku, co ostatnio zdarzyło mi się na brukselskim lotnisku.”

Przez te wszystkie lata poznałam **skomplikowane relacje łączące Afrykańczyków z ich dawnymi kolonizatorami.** Kiedy na siebie spoglądamy, odruchowo przeglądamy się w zwierciadle historii, której zdarza się zaburzać nasze spojrzenie w przyszłość. Bramy Twierdzy Europa zatrząskują się, a tymczasem granice Azji się otwierają. Zastanawiałam się, czy stanie się to nową szansą dla Afryki, poza zasięgiem europejskiego wzroku, z dala od ciężkiego rozgoryczenia i zadawnionych pretensji?

Sachina i Vishala spotkałam ponownie w Deirze, historycznym centrum Dubaju, wiosną 2009 roku. Ich sklep był wypełniony po sufit termosami, lampami naftowymi, przyrządami kuchennymi, kaloszami, piłkami nożnymi, puszkami oleju silnikowego, herbatnikami i sardynkami. Rozpoznałam tę mieszaninę towarów z moich podróży po Afryce. Sklep był wystawą dla ich magazynu – wszystko, co w nim było, dostarczali w ilościach hurtowych.

Zamknęli swój sklep w Kisangani. Od tamtej pory ich imperium mocno się rozrosło. Motocykle i rowery na rynek afrykański produkowano dla nich w Chinach, a interesy robili też w Indiach. Vishal był bardzo zainteresowany rozpoznaniem rynków Mogadiszu[5] i Basry[6], „Ludzie doceniają fakt, że przyjeżdża się do nich w trudnych czasach” – mówił – „Tak zyskuje się życzliwość, która jest pomocna w czasach lepszych.”

Przywieźli ze sobą swojego lojalnego kongijskiego pracownika Alberta – pobożnego zielonoświątkowca, który ani nie pił, ani nie palił. Kiedy bracia negocjowali ze swoimi agentami i dostawcami w najróżniejszych językach, Albert obchodził hotele i restauracje w poszukiwaniu afrykańskich klientów.

Z mojej bazy wypadowej w sklepie Sachina i Vishala łąpałam jedną historię za drugą. Czasem krążyłam po mieście z Albertem, a czasem chodziłam na zakupy z Anne, Kongijką zajmującą się handlem, która wpadła kiedyś pogadać z Albertem.

Anne była właścicielką dwóch sklepów w górniczym mieście Lubumbashi[7] na południu. Interes szedł kiepsko, nie miała zbyt dużo pieniędzy, ale bała się, że skończą się, jeśli czegoś z nimi nie zrobi. Przyjechała do Dubaju z trzema innymi kobietami, aby wspólnie wypełnić kontener. Kiedyś sama była w stanie wypełnić dwa kontenery, ale od kiedy zaczął się kryzys, wszyscy zaczęli działać grupowo.

Odwiedziłyśmy olśniewający sklep Husseina, brodatego mężczyzny z Radżastanu⁸, którym Neptun panował nad morzem połyskujących pereł, spinek do włosów i produktów do makijażu. Szminka kosztowała 25 centów, tusz do rzęs – 15. Wszystko przyjechało z chińskiego miasta Yiwu[9], mówił Hussein, gdzie ludzie prowadzą małe fabryczki we własnych domach.

Anne myślała, że kryzys dotknął jedynie Lubumbashi, ale zorientowała się, że i w Dubaju interesy nie idą wcale tak dobrze. Była to dla niej jakaś pociecha, ale i powód do zmartwień. Dostępne towary były takie same, jak poprzednim razem, niewiele można było zobaczyć nowego. Sprzedawcy nie chcieli jednak obniżyć cen. „Skoro jesteś pisarką” – powiedziała – „to może wiesz, kto uciekł ze wszystkimi pieniędzmi świata?”

Po dopilnowaniu plombowania swojego kontenera Anne i jej przyjaciółki zaczęły pakować 68 kg bagażu, który mogły ze sobą zabrać, w wynajętym w czwórkę pokoju hotelowym. Pokój szybko wypełniły papierowe brykiety, wieszaki i puste opakowania,

gdyż wszystko zredukować trzeba było do najłżejszej postaci. Pomachałam im na pożegnanie, kiedy odjeżdżały pickupem załadowanym kartonami, tuż przed moim odlotem do Chin.

Do budynku Tianxiu w afrykańskiej dzielnicy Kantonu wchodziłam z pewnymi obawami. Tianxiu to tętniące życiem nagromadzenie sklepów, w których sprzedaje się wszystko – od sztucznych koków po urządzenia elektroniczne. Opowieść, która zaczęła się w Dubaju, rozwijała się jednak bez przeszkód. W sklepie z zabawkami spotkałam Cheikhnę, malijskiego sklepikarza, który mieszkał w Brazzaville[10]. Siedział przy dziecięcym komputerze, którego zakup dla swojej córki rozważał. Usłużny chiński sprzedawca podsunął mu instrukcję po francusku. Cheikhna rzucił na nią rozkojarzonym wzrokiem – nie umiał czytać.

Pewnego wieczoru jadłam z Cheikhną kolację w malijskiej restauracji maman Badiallo – 18 pięter nad rozświetlonym miastem. Pod nami sznury samochodów przedzierały się przez płataninę estakad. Telefon w restauracji dzwonił bez przerwy – to malijscy biznesmeni zamawiający jedzenie z okolicznych hoteli. Grupka Chińczyków czekała na krzesłach. Kiedy gotowe było kolejne zamówienie, jeden z nich odbierał je i zniknął w ciemnościach nocy.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, co się dzieje. „Chińscy chłopcy na posyłki dostarczają jedzenie?” „Oczywiście” – odparł Cheikhna – „Są ze wsi i cieszą się, że mogą trochę zarobić.”

Cheikhna poruszał się z wielką pewnością siebie po „Czekoladowym Mieście”, jak nazywana jest afrykańska dzielnica Kantonu, mijając kalekich chińskich żebraków przemierzających się na drewnianych deskach z kółkami i magnetofony odtwarzające zawodzące recytacje wersetów Koranu. Cheikhna przyglądał się temu w milczeniu. „Ludzie byli tu kiedyś tak biedni, że trudno to sobie wyobrazić” – powiedział – „Wiesz, że kiedy nasz prezydent Modibo Keita[11] odwiedził Chiny w latach 60., Chińczycy tak głodowali, że zjadali siebie nawzajem? **Modibo przywiózł Mao złoto i mango.** Nie widziałas tych małych mango, które tu sprzedają? Pochodzą z Mali.”

Alejkami naprzeciw budynku Tianxiu ciągnął kolorowy tłum: Nigeryjki z głowami owiniętymi w eleganckie chusty, z niemowlakami przywiązanymi na plecach, egipscy kupcy w towarzystwie swoich chińskich tłumaczy, Senegalczyki we wspaniałych białych boubou[12]. W środku tego wszystkiego modnie ubrana para młodych Chińczyków, przyglądająca się z zaciekawieniem toczącemu się wokół życiu.

Brytyjski antropolog Gordon Mathews, który badał podobną społeczność w hongkońskich Chunking Mansions, posługuje się pojęciem „globalizacji nizin” (*low-end globalization*). To uderzające określenie. Wyobrażam sobie wielgachne stworzenie z

długim, kołyszącym się ogonem, którego uczeplieni są dzielnie kupcy tacy jak Cheikhna. Zabierając się w tę podróż, rozglądają się dookoła – i widzą wszystko.

Cheikhna miał zegarek pokazujący czas w trzech strefach. Czasem naciskał jeden z guzików i zaczynał dzwonić. Trzecia po południu w Kantonie to dziewiąta rano w Brazzaville, czyli dobry moment na skontaktowanie się z kuzynem doglądającym jego sklepu. Pewnego wieczoru trafiliśmy do knajpki prowadzonej przez ujugurską parę, która serwowała gołębie z rusztu. Wszystkie stoliki dookoła nas były zajęte, a wszyscy klienci rozmawiali przez telefony – po drugiej stronie Oceanu Indyjskiego kończył się właśnie dzień pracy.

Było już dość późno, kiedy wyruszyłam w drogę powrotną do mojej kwatery na drugim końcu miasta. Na jednym rogu jakiś Afrykańczyk rozmawiał przez telefon, gestykulując przy tym zawzięcie. Dalej dwóch mężczyzn szło chodnikiem, uginając się pod ciężarem niesionych worków. Ogarnął mnie smutek. **Całe to taszczenie rzeczy z jednego kontynentu na drugi – czy Afryka nie była w stanie sama niczego wyprodukować?**

Przez kilka tygodni byłam jak we śnie, poruszając się między jedną opowieścią a kolejną. „Większość ludzi wychodzi z pomieszczenia przez drzwi,” – powiedział mi pewien kongijski kupiec – „a my, jeśli to konieczne, wychodzimy przez ścianę.” Ten ruch, ta energia, ten optymizm były dla mnie fascynujące, ale zaczynałam już dostrzegać drugą stronę medalu. Przyszedł czas na poszerzenie mojej perspektywy i odkrywanie nowych horyzontów.

Tak jak Sachin i Vishal odkrywali kiedyś Afrykę, tak ja zaczęłam podróżować po Chinach. Z początku ostrożnie, zaczynając od miast we wschodniej części kraju, a później zapuszczając się w głąb lądu. Spotykałam afrykańskich studentów, chińskich badaczy i uczestniczyłam w konferencjach, podczas których Afrykanie, Chińczycy i ludzie Zachodu wchodzili nierzadko w poważne spory.

„Kiedy odwiedzam Luwr lub pałac w Wersalu, czuję się onieśmielony” – powiedział mi pewien rwandyjski znajomy, który Chiny odwiedził po raz pierwszy w 1995 roku. „Tyle historii – nigdy tego nie nadrobimy. **Ale kiedy przyglądam się ewolucji, jaką Chiny przeszły w ostatnich dziesięcioleciach, myślę sobie: dlaczego my nie moglibyśmy zrobić tego samego?**”

Inny Afrykańczyk, który doradza swoim rodakom w sprawie zakupu chińskich urządzeń, opowiadał mi z kolei: „Dawniej słowo ‘fabryka’ kojarzyło się z wizją wielkich niemieckich maszyn, które stały w trzypiętrowym budynku. Dzisiaj za 6000 dolarów można kupić małą linię produkcyjną i na własnym podwórku montować telefony komórkowe, produkować pastę do zębów, soki czy napoje w puszkach. **Chiny zdemokratyzowały dla nas przemysł.**”

Wiosłuję wytrwale przez chińskie pejzaże, strzegąc mojej afrykańskiej pirogi, a opowieści same wpadają do mojej łódeczki. Li Shudi, wykładowca historii sztuki z chińskiego miasta Kaifeng[13], wyjechał w latach 90. do RPA, aby pracować tam w tajwańskiej fabryce dywanów. Nie znał ani słowa po angielsku i był tak samotny, że co wieczór opróżniał butelkę taniej wódki.

Teraz Shudi jest znów w Chinach i wykłada na Akademii Sztuk Pięknych w Jinhua[14]. Pewnego wieczoru wyświetlił dla mnie zdjęcia swojej rodziny na białej ścianie salonu. Jego ojciec, jak i on sam, wykładał historię sztuki. W czasie rewolucji kulturalnej został tak brutalnie pobity przez swoich kolegów i studentów, że się powiesił. Shudi miał wówczas czternaście lat.

Pokój był ciemny, wyświetlacz szumiał. Mały Shudi, stojący w staroświeckim chodziku, w białym śliniaku ozdobionym rysunkiem królika, w ręku kwiat. Zdjęcie Shudi w młodości, z podniesioną głową, śmiejącego się. A potem jego ojciec, poważnie wyglądający, z wsobnym wyrazem twarzy, sprawiający wrażenie niemal przestraszonego. „To było na kilka miesięcy przed jego śmiercią” – Shudi mówił nienaturalnie sztywnym tonem.

Oglądałam zdjęcia w milczeniu. Czy Shudi chciał uciec przez bolesnymi wspomnieniami? Czy dlatego właśnie wyjechał do RPA? Ale jednak wrócił, zaczął się godzić ze swoją chińską przeszłością. „Czasem współczesne Chiny przytłaczają mnie jednak tak bardzo, że tęsknię za samotnością moich pierwszych miesięcy w RPA.” Przyglądałam się jego twarzy w półmroku. Wyglądał na zaskoczonego tym, co sam przed chwilą powiedział.

Kiedy myślę o moich podróżach do Dubaju i Chin, widzę przed sobą widownię zapełnioną ludźmi. Niektóre twarze zaczynają wyglądać znajomo, niektóre głosy rozplywają się w innych. Dla Europejki, potomkini kolonizatorów Afryki, bycie świadkiem relacji między ludźmi nie posiadającymi wspólnej kolonialnej historii jest unikalnym doświadczeniem.

Cheikhna – Malijczyk, który nie umie czytać, ale nie boi się wsiąść do samolotu lecącego do Chin. Shudi – Chińczyk, który po latach spędzonych w RPA próbuje odnaleźć się w nowych Chinach. Nie tak dawno jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z ich istnienia, a teraz nieustannie zaprzatają moje myśli. Mimo że ich ścieżki się nie krzyżują, ich marzenia są ze sobą splątane. Uniósł ich na swym grzbiecie potwór globalizacji i już nigdy nie odnajdą tak naprawdę drogi do domu. W oddali zaczyna rysować się opowieść.

PRZYPISY:

1. **Kisangani** – miasto położone w północno-wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga, nad Rzeką Kongo
2. **Kishore Mahbubani** (ur. 1949) – singapurski intelektualista i dyplomata pochodzący z rodziny o hinduskich korzeniach, obecnie profesor Singapurskiego Uniwersytetu Narodowego
3. **Kinszasa** – stolica Demokratycznej Republiki Konga
4. **Mobutu Sese Seko** (1930-1997) – kongijski wojskowy i polityk, w latach 1965-1997 prezydent Zairu (jak przez większość tego okresu brzmiała nazwa państwa, zmieniona później na „Demokratyczna Republika Konga”)
5. **Mogadiszu** – nominalna stolica Somalii
6. **Basra** – miasto w południowym Iraku
7. **Lubumbashi** – miasto położone w południowej, obfitującej w surowce naturalne części Demokratycznej Republiki Konga, blisko granicy z Zambią
8. **Radżastan** – indyjski stan położony w północno-zachodniej części kraju, przy granicy z Pakistanem
9. **Yiwu** – miasto w prowincji Zhejiang, w południowo-wschodniej części Chin, duże centrum produkcji towarów konsumpcyjnych przeznaczonych na eksport
10. **Brazzaville** – stolica Konga, państwa sąsiadującego z Demokratyczną Republiką Konga, określanego czasem (dla uniknięcia nieporozumień) jako „Kongo (Brazzaville)”
11. **Modibo Keita** (1915-1977) – pierwszy prezydent niepodległego Mali (w latach 1960-1968)
12. **Boubou** – długie i obszerne wierzchnie odzienie, popularne w Afryce Zachodniej i Północnej
13. **Kaifeng** – miasto w prowincji Henan w środkowych Chinach, stolica Chin za czasów Północnej Dynastii Song (X-XII w.)
14. **Jinhua** – miasto w prowincji Zhejiang, w pobliżu Yiwu

Przekład z języka angielskiego i opracowanie przypisów: Wojciech Jakóbiec



OŚRODEK
SPRAW
AZJATYCKICH

RAPORTY OPINIE DORADZTWO

PIERWSZY W POLSCE UNIWERSYTECKI
THINK-TANK

DORADZTWO POLITYCZNE I BIZNESOWE

ZESPÓŁ Z PRAKTYKĄ W AZJI

www.osa.uni.lodz.pl

